Zeszyt 20. Lwów dnia 20. Lipca 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Marjacki, hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

IX.

(C. d.) Pan Wybicki trzeciego dnia rewizytował adwokata. Dr. Czudek był tem nadzwyczaj uszczęśliwiony; aby zaś ojciec Wandzi nie sądził, że ma z lada kim do czynienia, w ciągu rozmowy zręcznie nadmienił, że za mieszkanie płaci rocznie tysiąc guldenów, a utrzymanie kancelarji wraz z „ludźmi“ w niej pracującymi kosztuje go kilkaset guldenów miesięcznie. Panu Wybickiemu nie bardzo to imponowało; dopiero gdy usłyszał, że mecenas ma swoich „ludzi“ zaczął mu się uważniej przypatrywać, jak komuś co do tychczas był dla niego zagadką. I nie bardzo korzystnie musiało to przypatrywanie wypaść dla adwokata, wróciwszy bowiem do domu nie powiedział córce, że był u niego i przez cały wieczór ani o nim wspomniał. Wandzia jednak prędko się domyśliła, że ojciec rewizytował pana Czudka. W sześć dni później, adwokat przyszedł ich znowu odwidzieć i lubo nie bardzo zapraszany, został na herbacie.

Od tego czasu bywał bardzo często, co drugi dzień; czasem zaś tak kierował, że od państwa Wybickich szedł prosto do pana Czarkowskiego. Ojciec przyjmował go jak zawsze grzecznie, córka zimno, ale on nic sobie z tego nie robiąc, z każdym dniem przybierał ton więcej poufały, powiemy prawie rozkazujący. O wszystkiem chciał wiedzieć, o każdą rzecz wypytywał szczegółowo, słowem uważał się panem w tym domu. Dawna jego uniżoność znikła bezpowrotnie, został tylko chłop nie bardzo ucywilizowany a zarozumiały i skryty. Pana Wybickiego zaczynało to drażnić, lecz nie zdradził się ze swemi uczuciami. Będąc obcym w mieście, a żądnym zajęcia, nie chciał robić sobie nieprzyjaciół, zwłaszcza między ludźmi wpływowymi, do których bezwątpienia dr. Czudek musiał należeć. Wandzia znów ze swej strony nie chciała nic takiego uczynić, coby ojca mogło zadrasnąć. Żyli więc oboje pod wpływem człowieka im obcego i niemiłego, który gwałtem narzucał się ze swoją osobą, radami i uwagami. Gdyby choć był dopomógł panu Wybickiemu do znalezienia jakiego miejsca! Ale nie... on przyrzekał, z dnia na dzień odkładał, i nic nie robił. Snać i to leżało w jego planie...

Wandzia nie spotkawszy dotąd Juljana, który ciągle był we Wiedniu, a nie mogąc żyć dłużej w niepewności co do jego osoby, zebrała nareszcie całą odwagę i zapytała o niego Czudka.

— O kogo łaskawa pani pyta? — odparł udając, jakoby nazwiska nie usłyszał.

— O pana Juljana Rossowskiego — powtórzyła Wandzia. — Pochodzi on z Królestwa, poznaliśmy go u państwa Rylskich w Zarzeczu, tu zaś mieszka u swojego wuja, pana Konstantego Czarkowskiego.

Adwokat słuchał tych szczegółów niechętnie, wzrok mu się zaiskrzył a mięśnie na twarzy zadrgały, jakby pod wpływem gniewu tłumionego.

— To pani łaskawa zna pana Rossowskiego?— przemówił z przekąsem — O! przystojny mężczyzna, jakem poczciw przystojny, i damom bardzo się podoba.

Mówiąc to śledził Wandzię okiem przenikliwem. Jej twarz mocno się zarumieniła: był to rumieniec oburzenia, nie zakłopotania. Adwokat byłby go jednak nie zrozumiał, gdyby nie słowa, które po nim nastąpiły.

— Nie o to pana pytam — rzekła głosem stanowczym, w którym drgała podrażniona struna dumy kobiecej — nie o to, czy pan Rossowski damom się podoba, bo to nas oboje nie obchodzi, tylko czy go pan znasz osobiście.

— O! znam, nawet bardzo dobrze... chodziliśmy razem do szkół.

— Tak? Sądziłam, że on znacznie młodszy.

— Bynajmniej! Jesteśmy w równym wieku, jakem poczciw w równym! Juljan ma jednak tę słabość, zresztą wcale niewinną, że lubi się młodszym wydawać. Ale to chłopiec wcale dobry. Ja go nawet bardzo lubię, jakem poczciw bardzo!

Tego dnia na tem skończyła się rozmowa; Wandzia nie chciała więcej pytać. Wszakże w kilka dni później, nie mogąc powstrzymać się dłużej, znowu adwokata zagadnęła:

— Czy pan Rossowski jest we Lwowie?

Czudkowi oczy błysły, po ustach przemknął uśmiech złośliwy.

— Nie, nie ma go... Już od dwóch miesięcy bawi we Wiedniu, gdzie w interesach wyjechał. Nie dziwota. Wiedeń piękne miasto, jakem poczciw bardzo piękne! A ile tam ślicznych twarzy... Nie dziwota, że młody człowiek przyjedzie na tydzień, a siedzi kilka miesięcy.

Adwokat rozmyślnie cedził słówko po słówku, chcąc się przekonać, jakie to wrażenie zrobi na pannie Wandzi. Zawiódł się, jak już tyle razy. Dziewica wysłuchała jego uwag złośliwych spokojnie, obojętnie, przeczucie bowiem natychmiast jej powiedziało, że Czudek nie lubi Juljana, może go nawet nienawidzi. Adwokat widząc, że celu nie osiągnął, zmienił szybko taktykę i tak przemówił:

— Ale to dobry chłopiec, jakem poczciw bardzo dobry! Szczerze go nawet żałuję, że wziął się nie do swojej rzeczy. Bo trzeba państwu wiedzieć, że Rossowski handluje obrazami. Czy słyszał kto u nas o takiem zajęciu? Jakem poczciw chyba półgłówek mógł się wziąć do takiego przedsiębiorstwa. Dobry chłopiec, bardzo dobry, lecz cóż, kiedy tu, tu słaby!

Przy ostatnich słowach uderzał się palcem w czoło.

— Więc to przedsiębiorstwo źle mu idzie? — zapytał pan Wybicki.

— Najgorzej! Właśnie teraz oszukał go jakiś ajent we Wiedniu na kilka tysięcy i w dodatku wystawił jeszcze nie mało fałszywych weksli na jego nazwisko. Rossowski pojechał w tym interesie do Wiednia i dotąd nie wraca.

Dr. Czudek nie był więc dobrym dyplomatą; prędzej niż się Wandzia spodziewała opowiedział właściwy powód nieobecności Juljana. Dziewica wolniej odetchnęła.

— A pan Czarkowski — zapytała — daleko z tąd mieszka?

— O! bardzo daleko! Na przeciwległej stronie miasta. Poczciwy dziwak bojąc się o swoje skarby uciekł z niemi aż pod cytadelę... chociaż obawa była zbyteczna, jakem poczciw zbyteczna! Pan Juljan strzeże go lepiej niż działa cytadeli.

— Bardzo to pięknie ze strony siostrzeńca — wmięszał się pan Wybicki — że dba o swego wuja, który o ile wiem, jest już starcem nad grobem.

— Rzeczywiście... pan dobrodziej ma słuszność zupełną... chociaż — tu adwokat zrobił minę wieloznaczącą — zasługa dopiero wtedy byłaby istotną, gdyby była bezinteresowną.

— Pan Rossowski miałby być interesownym? zapytała Wandzia z niedowierzaniem.

— Niestety! i bardzo... jakem poczciw bardzo interesowny. Dybie na majątek wuja i nie raz mi wspominał, że pan Czarkowski żyje trochę za długo. Ale ja się nie dziwię, jakem poczciw nie dziwię się Juljanowi... dziś cały świat taki. Jeden drugiemu radby wszystko wydrzeć, ojciec oszukuje syna, syn ojca. Strach jakie czasy nastały, strach!

Wandzia słuchała tych słów z oburzeniem; przeciwnie ojciec zdawał się wierzyć adwokatowi. Wszak on nie kochał Juljana sercem kobiety, które jedno zawsze umie znaleźć nitkę prawdy wśród labiryntu potwarzy i oszczerstw; on go prawie całkiem nie znał, u państwa Rylskich zamienił z nim ledwie słów kilka, więc łatwo mógł przypuścić, że dr. Czudek mówi prawdę.

— A piękny majątek! — ciągnął adwokat, robiąc teraz minę bardzo słodką i łagodną — wcale piękny! W gotówce, w realnościach i w zbiorach przeszło sto tysięcy guldenów... najmniej sto pięćdziesiąt. Juljanowi. który w szkołach nie chciał się uczyć i nie kwalifikował się do niczego, przydałaby się taka fortunka! Chociaż jakem poczciw nie dałbym złamanego za to szeląga, że pan Czarkowski bądź mu wcale nic nie zapisze, bądź bardzo mało.

— Tak pan sądzisz? — podchwycił gospodarz.

— Ja jeno przypuszczam, pan Czarkowski bowiem jest skończonym oryginałem, skończonym dziwakiem, nikt więc nie przewidzi, co mu do głowy strzelić może. Niedawno był taki wypadek w rodzinie państwa Z. Ojciec umierając zostawił dzieciom tylko legitymę, cały zaś majątek zapisał funduszowi religijnemu. Wprawdzie dzieci usiłują testament zwalić, opierając się na tem, że ojciec nie miał prawa ich wydziedziczać, lecz Bóg wie na czem to się jeszcze skończy. W takich sprawach odgrywają wielką rolę tysiączne wpływy i namiętności. Co do pana Czarkowskiego, ten nie ma dzieci, a Rossowski jest jego dalekim kuzynem, bo siostrzeńcem po siostrze

przyrodniej. To trzeci stopień pokrewieństwa... o takich kuzynach często się zapomina, zwłaszcza jeżeli się ma do nich żal głęboki.

— Więc pan utrzymujesz — przerwała Wandzia głosem podrażnionym — że pan Czarkowski ma istotny żal do swego siostrzeńca?

— Ja nic nie utrzymuję, jakem poczciw nic! — pospieszył adwokat oświadczyć — ja tylko przypuszczam. Bo niech łaskawa pani zechce jeno dobrze rozważyć. Pan Czarkowski sprowadza biednego siostrzeńca do siebie, daje mu całe utrzymanie, ubior, płaci profesorów, kupuje książki, sam nad nim ślęczy po nocach i siłą mocą stara się, by chłopiec studja pokończył i został profesorem języków klasycznych. Ja sam gorliwie mu w tem pomagałem, powtarzając z Rossowskim każdą lekcję.... wszystko napróżno! Paniczowi książka nie pachła, jemu były w głowie panienki, romansiki, karteczki, bilardzik, harfinistki, upadł też przy maturze, czego szlachetny wuj o mało życiem nie przypłacił, a teraz spekuluje handlując obrazami. I znowu martwi wuja, bo przedsiębiorstwa nie dogląda, bawi się w pana, prawdopodobnie straci wszystko. W takim razie pan Czarkowski straciłby także pięć tysięcy, które mu pożyczył; że zaś skąpcy, choćby nad grobem stali, jeszcze tracić nie lubią, więc bardzo być może, że go wuj wydziedziczy.

— Jak widzę — wmięszała się znowu Wandzia — pan mecenas musisz być szczerym przyjacielem pana Rossowskiego, kiedy widzisz wszystkie jego strony ujemne i prawdę o nim wypowiadasz, czego nie zwykli czynić ludzie obojętni.

Mówiła to z udanym spokojem, chociaż wrzało w jej piersi, i w ręce białą chusteczkę mięła nerwowo. Ojciec spojrzał na córkę. Jej śmiałe słowa wyświecając skryte postępowanie adwokata, wprowadziły go na dobrą drogę. Był to błysk szczęśliwy, jeden z tych, które nagle rozjaśniają umysł, błądzący wśród wątpliwości. Odtąd i on nie wierzył Czudkowi. Wcale inaczej wziął sam adwokat słowa dziewicy. Nie domyślając się w nich ironji, o którą tak piękną i słodką panienkę nie mógłby nawet posądzić, wziął je, jak mówią, za dobrą monetę, skutkiem czego pospieszył oświadczyć:

— Rzeczywiście, ja jestem jego wielkim przyjacielem! Jakem poczciw, może jedynym, jakiego ma w mieście. Bo obok tych wad i błędów, Rossowski jest wcale dobrym chłopcem, szczególnie w męskiem towarzystwie, *un bon compagnon!* Hulaka! wisus! ale to się podoba. Jakem poczciw ja go bardzo lubię!

Po wyjściu adwokata, Wandzia nie mogąc dłużej ukryć oburzenia, zaczęła szybko biegać po pokoju i kilkakrotnie wyrwał jej się okrzyk z piersi:

— Boże! Jacy niegodziwi są ludzie!

Ojciec nic nie mówił. On ludzi znał oddawna, oburzenie zaś córki uważał za naturalne. Serce szlachetne oburza się przecie każdą nikczemnością, a że dr. Czudek był potwarcą, o tem i on już nie wątpił.

Adwokat wróciwszy tego dnia do domu, przechadzał się do późnej nocy po salonie, z zadowoleniem ręce zacierając.

— Kto by się spodziewał, że go zna!... Ale nic to nie szkodzi. Przystawiłem mu stołka co się zowie... A zręcznie, dyplomatycznie, jakem poczciw bardzo dyplomatycznie! Sam djabeł czarniej nie wygląda. Jeżeli miała dla niego trochę sympatji, pewnie ją teraz wykorzeni. Brawo Mateuszku! Dobrześ mi się spisał, wart jesteś nagrody!

Powiedziawszy to poszedł do kasy żelaznej, która stała w jego gabinecie, otworzył ją i wyjął flaszeczkę, w której mieścił się płyn przejrzysty i biały. Potem z pudełeczka wyjął szklanną wstrzykawkę w srebro oprawną, napełnił ją owym płynem, a rozpiąwszy kamizelkę i koszulę na piersiach, ostry koniec wstrzykawki wbił w ciało, przyczem się ledwie skrzywił, i płyn w niej zawarty w krew sobie wpuścił. Było to morfium, z którego działaniem ożywiająco-upajającem jakiś lekarz wiedeński Czudka zapoznał. Odtąd adwokat używał skrycie morfium po kilka razy na dzień, a gdy się czasem bardzo zmartwił lub ucieszył, podwajał dozę. Jak Turek do opium, jak Indjanin do haszyszu, tak Czudek przyzwyczaił się do morfium, które utrzymywało go w ruchu. Zaspokoiwszy teraz swoje pragnienie, prędko się rozebrał, a nakrywszy kołdrą, szybko usnął. Morfium zaczynało już działać.

X.

Juljan wyjeżdżając do Wiednia, ani przypuszczał, co go tam czeka. Zdawało mu się, że w kilku dniach odbierze pieniądze od swego ajenta i uporządkuje wszystkie interesa, tymczasem zastał położenie tego rodzaju, że dłuższy pobyt we Wiedniu stał się nieuniknionym. Ajent sprzeniewierzył mu pieniądze, powikłał interesa i w dodatku popodpisywał go na wekslach, które zostały zaskarżone. Aby kredytu nie stracić, musiał coprędzej oddać wszystką gotówkę, którą miał w ręku, a gdy to nie wystarczyło, pożyczył u miejscowych lichwiarzy kwotę znaczniejszą. W bankach wiedeńskich, jako nieznajomy, nie mógł dostać pieniędzy; Storch we Lwowie utrzymując sklep i w nim kilku ludzi, sam był w kłopotach i Boga prosił, by Rossowski jak najprędzej z pieniędzmi powrócił; do wujaszka nie chciał pisać, aby nie niepokoić staruszka, pozostali więc lichwiarze, którzy mu pomogli bez trudności, lecz na wielki procent. Gdy Juljan zgłosił się do nich,

odrzekli, że dopiero nazajutrz dadzą mu odpowiedź. W ciągu dnia telegrafowali do Lwowa, a gdy ztamtąd przyszła odpowiedź korzystna dla Rossowskiego, mianowicie, że jakkolwiek on sam nie jest bogaty, zasługuje jako człowiek prawy na zaufanie, tem większe, że po swoim wuju odziedziczy wkrótce bardzo znaczny majątek — lichwiarze przyszli nazajutrz z pieniędzmi i rzecz ubito. Teraz miał Juljan załatwić sprawę z ajentem, który ukrył część jego pieniędzy i obrazów. Aby to odzyskać, trzeba mu było wytoczyć proces w sądzie karnym. Juljan chciał w pierwszej chwili poruczyć sprawę adwokatowi a sam do domu wrócić Przedtem zapytał jednak o radę Czudka i wuja. Pierwszy, z powodów łatwych do zrozumienia, natychmiast odpisał, aby Wiednia nie opuszczał i procesu sam pilnował, przyczem nadmienił, że kto okiem nie doglądnie, workiem dołoży; a co do pana Czarkowskiego, ten namówiony przez adwokata, był także zdania, aby przed ukończeniem tak ważnej sprawy, Juljan nie wracał do Lwowa.

Tak więc nasz przyjaciel został we Wiedniu i ani przeczuwał, co się tymczasem działo we Lwowie.

Minął miesiąc drugi, trzeci, czwarty i proces miał się już wkrótce ukończyć, gdy nagle rano zjawia się woźny z urzędu telegraficznego i wręcza mu depeszę. Juljanowi ręce zadrżały; był pewnym, że wuj umarł. W ostatnim liście skarżył się znów na cierpienia reumatyczne i pismo jego było już bardzo nieczytelne.

Rozerwał depeszę i czytał:

„Obecność twoja niezbędna. Przyjeżdżaj natychmiast, choćby z narażeniem interesów. Wszyscy zdrowi. *Twój Storch*“.

A więc i wuj zdrowy! Wolniej odetchnął. Ale co się stać mogło, że go tak nagle potrzebują? W każdym razie musialo zajść coś nadzwyczajnego, kiedy Storch, ten oględny i zimny spekulant, mówi mu, by wracał nie zważając na interesa. Było to coś, czego Juljan nie mógł zrozumieć. Może wuj zachorował? Ale nie, wszak stoi czarne na białem, że wszyscy zdrowi, pod tem zaś „wszyscy“ rozumiał przecie najpierw pana Czarkowskiego, potem siebie, a w końcu może Wojciecha i Czudka. Zaniepokojony chciał zatelegrafować do Storcha, żądając dalszych szczegółów, po bliższem atoli zastanowieniu odstąpił od tego zamiaru. Wszak znając Storcha wiedział, że to człowiek roztropny, zimny i jemu całą duszą oddany, jeżeli go zatem wzywał tak kategorycznie, musiał mieć do tego ważne powody. Zresztą kto wie, czy sprawa, w której go wzywa, nie jest natury tak delikatnej, że żadną miarą nie mógł jej powierzyć drutowi telegraficznemu. Rozważywszy to wszystko, postanowił nie czekać dłużej, spakował swoje rzeczy, zapłacił rachunek hotelowy i najbliższym pociągiem kolei Ferdynanda z Wiednia wyjechał.

Podczas gdy on jedzie najrozmaitszemi myślami trapiony, my go wyprzedzimy, aby zobaczyć co się dzieje w domu państwa Wybickich.

Dni płyną, lecz nie są do siebie podobne — mówi przysłowie francuskie — o dniach, które płynęły w ubożuchnem mieszkanku naszych przyjaciół, nawet tego nie było można powiedzieć. Co dzień smutek, co dzień zawód. Po kilku tygodniach strawionych na chodzeniu, prośbach i wyczekiwaniu w przedpokojach, pan Wybicki otrzymał wreszcie odpowiedź stanowczą. Oto na podanie na piśmie wniesione, odpowiedziano mu również pisemnie, że zarząd kolei nie może mu dać żadnej posady, kolej bowiem potrzebuje tylko ludzi młodych i zawodowo wykształconych. Pan Wybicki jako człowiek starszy, nie mający studjów technicznych i nie posiadający języka niemieckiego, powinien zatem gdzie indziej szukać pomieszczenia. Szukać, ale gdzie? Brak języka stawał przecie zawsze na przeszkodzie; wszak w każdym urzędzie, w każdym banku, wszędzie wymagają w Galicji, by urzędnik umiał po niemiecku. We wieku pana Wybickiego niepodobieństwem znowu było zabierać się do uczenia tej mowy. Głowa cierpieniami skołatana nie byla by prędko pokonała trudności, które nawet dla młodych umysłów są znaczne, tu zaś trzeba było radzić jak najprędzej, gdyż do ich mieszkanka wpraszał się gość nowy a straszny, którego Wandzia jeszcze nie znała — nędza! Ojciec poznawszy go bliżej w młodości swojej, byłby mu i teraz harde stawił czoło, lecz jego córka nie powinna była nawet wiedzieć, co wyraz nędza oznacza. Jako jej ojciec, zresztą jako mężczyzna wiekiem starszy i mający o tyle więcej doświadczenia, powinien się był umieć postarać, by zmrok jego życia był spokojny a los córki zapewniony. Tymczasem on postąpił jak lekkomyślnik, stracił wszystko i nie tylko Wandzię zostawił bez pomocy, lecz na domiar złego jeszcze siebie oddawał jej w opiekę.

Straszliwie cierpiał pan Wybicki, gdy sobie począł robić takie uwagi. Był niewinny a odpowiedzialność za to, co się stało zwalał li na siebie; całe życie był zapobiegliwym i oszczędnym, a nazywał się lekkomyślnym i rozrzutnym; od kolebki był szlachetnym a teraz uważał się za występnego! Zaiste, tylko człowiek na wskróś szlachetny mógł się tak surowo osądzać. Inny byłby odpowiedzialność zwalał na wszystkich, byle nie na siebie.

Wandzia po usilnych staraniach znalazła sobie dwie lekcje: w jednym pensjonacie miała udzielać języka angielskiego, w drugim gry na fortepjanie. Za obie lekcje razem miała otrzymywać miesięcznie 12 guldenów. Przed laty kilkunastu, gdy

biedna Wandzia szukała zajęcia, ceny takie za pracę umysłową należały we Lwowie do wcale dobrych. Człowiek na tem polu pracujący mógł tyle zarobić, by z głodu nie umrzeć; wszakże w najlepszym nawet razie nie zarobił tyle, by mógł żyć skromnie ale przyzwoicie.

Dochód z lekcyj wystarczał na opłacenie pomieszkania, zkąd atoli wziąć pieniędzy na opędzenie wydatków życia codziennego, na zapłacenie sługi, światła, nakoniec opału, którego oba pokoiki dosyć potrzebowały? Zima rozpoczęła się już na dobre, mrozy coraz się wzmagały, jakby chciały dokuczyć wszystkim biedakom, niemającym ciepłej odzieży i drzewa na kominie. Jakiś czas nasi przyjaciele żyli z pieniędzy, które im zostały po zapłaceniu mieszkania i kupieniu mebli, gdy jednak pieniądze wyczerpały się do ostatniego grosza, ojciec usiadłszy w pierwszym pokoju pod oknem załamał ręce z rozpaczy. Szczęście, że Wandzi nie było. Ten ból, który się na jego twarzy malował, byłby ją przeraził swoją głębokością i spokojem. Po godzinie westchnął, wstał i wyszedł do miasta. Wieczorem dał Wandzi kilkanaście guldenów na wydatki. Córka biorąc pieniądze chciała ojca zapytać, zkąd je wziął... nie miała odwagi. Nazajutrz rano w obawie, by się na lekcję nie spóźniła, zapytała jak zwykle wesoło:

— Która godzina ojczulku?

— Zdaje mi się, że już dziewiąta — wahając się ojciec odpowiedział — chociaż nie wiem dokładnie. Mój zegarek zepsuł mi się wczoraj... dałem go naprawić.

Wandzia nie spojrzała na ojca; serce zakołatało w jej piersi, ona prawdę odgadła. Te pieniądze, które jej dał wczoraj, otrzymał za zegarek. Od tego dnia nie pytała nigdy o godzinę. Ale twarzy nie zasępiła. Przy ojcu, choćby jej serce z żalu pękało, udawała zawsze, że jest swobodną, wesołą. On patrzył na córkę i głową potrząsał, jakby chciał powiedzieć:

— Nie oszukasz mnie dziecię!

Po zegarku poszły inne drobiazgi, mające jaką taką wartość, mianowicie spinki, guziczki, a gdy i to się wyczerpało, biedny ojciec ukradkiem, tak by córka nie widziała, wynosił po kawałku swoją garderobę. I wyniósł ją całą... został w tem tylko, co miał na sobie. Wandzia bawiła go różnemi facecjami, które w pensjonatach słyszała, śmiała się, nawet przy Czudku, gdy przyszedł wieczorem, grała rolę wesołą. Ale gdy sama zostawała, twarz wolna od maski pokrywała się trupią bladością, oczy w głąb się zapadały, robiła się starszą o lat dziesięć i nieraz wyrywał się jęk z piersi zbolałej:

— Boże! co się z nami stanie?

I mimo nieszczęścia, które zdawało się trzymać ją całą w swej mocy, obraz Juljana nie zatarł się w jej pamięci. Przeciwnie, myślała o nim co dzień, bez przerwy, a ilekroć wstąpiła do kościoła OO. Karmelitów, do modlitwy za ojca łączyła drugą za niego. Wszak dr. Czudek mówił, że i on ma zmartwienia, może i jemu grozi ruina... Gdyby choć przyjechał, lżej by doświadczenia losu znosiła, a słowem przyjacielskiem może i jemu ulgę by przyniosła. Ach! jak gorąco pragnęła go zobaczyć.

(C. d. n.)

ŻÓŁTA RÓŻA.

NOWELLA Z FRANCUZKIEGO PRZEZ HALINĘ.

(C. d.) — Ten pan decydująco nie chce mojego sąsiedztwa — szepnęła przez stół do blondynki, która zwyczajem francuzkim naprzeciw gospodyni domu siedziała.

— Co ci się stało, Françis? — rzekł Hektor, podchodząc do przyjaciela, którego dziwne zachowanie, przypisywał jakiejś nagłej słabości.

— Przepraszam państwa po tysiąc razy — ocknął się tenże wreszcie, jakby ze snu budząc. — Jestem czasem tak dziwnie, tak śmiesznie roztargnionym...

— Czy nie jakie błogie wspomnienia, wywołały tę głęboką zadumę? — spytała młoda, dwudziestopięcio letnia blondynka, trochę ironicznie, a jednak z pewnem współczuciem, które zawsze wzbudza w sercach niewieścich widok młodzieńca pięknego, a zamyślonego.

Dramond usiadł nareszcie, wzrokiem obejmując miłą żartownisię, która niosła w tej chwili do ust, z gracją trochę wystudjowaną, pierwszą łyżkę zupy. Ukośne słońca promienie, oświetlały ją całą. Na jej pulchnej, białej rączce, błysnął na średnim palcu, duży szmaragd, brylantami osypany. Na widok tego pierścienia, nowy gość pana Simart zadrżał, jakby go kto uderzył iskrą elektryczną, a wypuszczając z rąk łyżkę na talerz zupy przed nim stojący, rozlał prawie połowę płynu w nim zawartego. Melanja, rzuciła się w bok wraz z krzesłem, z szybkością i wdziękiem gazeli, aby uniknąć powodzi, która mogła zniszczyć od razu jej piękną i nowiusieńką sukienkę. Rzuciła okiem niespokojnem na swoją toaletę, a widząc, że w niczem nie została uszkodzoną, wybuchła śmiechem, którego tym razem powstrzymać nie była w stanie.

Françis patrzał na sąsiadkę, tak serdecznie rozśmieszoną poważnie i badawczo. Po chwili zwrócił swoje oczy czarne i palące, na blondynkę naprzeciw siedzącą, z wyrazem tak przenikającym, jak gdyby chciał ją zmagnetyzować, a wtedy dotrzeć do dna jej serca i tajemnic tamże ukrytych.

— Wspomnienia? — odparł z naciskiem. — Możeś pani i trafnie odgadła.

Młoda kobieta, wielkie oczy zrobiła, jak gdyby przemówił do niej po chińsku lub arabsku.

— Nie rozumiem pana — odrzekła po chwili, z uśmiechem drwiącym, lecz bez cieniu pomięszania.

— A pani — zwrócił się do Melanji tonem prawie wyzywającym — Czy mnie także nie raczysz rozumieć?

Melanja wzruszyła niecierpliwie ramionami:

— Jeżeli pan chcesz nam zadawać szarady do zgadywania, to udaj się z tem do mego tatki, on ma do tego talent niepospolity i wielkie zamiłowanie. My się tem wcale nie bawimy.

Wymówiła te słowa lekceważąco, patrząc na gościa z politowaniem, jak na człowieka, u którego w głowie nie wszystko jest w porządku.

— Szarada! Jaka szarada? — krzyknął pan Simart w zachwyceniu, to jedno słowo dosłyszawszy, które go tak zelektryzowało, jak trąbka bojowa, na dzielnego rumaka arabskiego oddziałuje.

— Po objedzie zajmiemy się tejże rozwiązaniem — odpowiedział mu Dramond, z tym samym wyrazem przenikającym w źrenicach, z tym samym uśmiechem sarkastycznym na ustach.

— Oszalał na honor, oszalał! — mruczał Teissier, oczy co raz niżej spuszczając, tak że nos prawie w zupie kąpał. Po pod stół, trącał raz po raz nogą przyjaciela, żeby mu dać poznać całą niestosowność jego postępowania.

— Poczciwiec! myślał w duchu Francis — Nie wie kogo kopie nogami! One mnię nie znają, ale ja je poznaję aż nadte dobrze. Tym razem, ja to zedrę z nich maski. O! mój nosie przyprawny, jak ja ciebie błogosławię! Dzięki tobie, mam nad temi dwoma obłudnicami, moc niezwyciężoną, którą w bajkach Wschodu, czerpali czarodzieje w swoich talizmanach. *Age quod agis.* Teraz, kiedyśmy przy stole, jedzmyż spokojnie, ale po obiedzie, na wety, przygotuję im scenę dramatyczną, więcej zajmującą, niż wszelkie szarady. Muszą mnię w końcu zrozumieć! Nie mogę przecież pozwolić, żeby ten biedny Hektor, żenił się z istotą, która uczęszczała na bale Opery!

II.

Gdy na środku ulicy, przez jakie podziemne wzburzenie, zrobi się przepaść, policja otacza ją barierą, a w nocy oświetla lampionami, by przechodniów ostrzedz przed niebezpieczeństwem. Inaczej dzieje się w świecie moralnym. Jeżeli w rodzinie zdarzy się jeden z tych nieszczęsnych wypadków, które są przepaścią cnoty dziewiczej, a od których nie zawsze może ustrzedz córki, najczujniejsze oko rodzicielskie, jeżeli dziewica popełni jedną z tych lekkości, które chyba przez ironię świat tak raczy nazywać, boć taki postępek bardzo ciężko zaważy w jej życiu, cóż robią jej najbliżsi? Oto: przepaść kwiatami zakrywają, zamiast czarnego welonu, którym osłaniano w Rzymie Westalki łamiące ślub czystości, otaczają jej skroń aureolą niewinności, przyciszają skandal rozmaitemi sposobami godziwemi, a czasem i niegodnemi, zacierają wszelkie ślady, bądź przez podróż, bądź przesiedlając sie w miejsce oddalone, licząc na czas, który niszczy wszystko, nawet i wspomnienia.

Zjawia się częstokroć człowiek zacny, uczciwy, który daje się oszukać pozorami cnoty i niewinności, wierzy że te białe, powiewne szaty, te loczki główkę zdobiące, te wieńce z róż i fiołków, ozdabiają czoło równie czyste, promieniste, żadną brudną myślą nieskalane — i na słowo, okrywa swojem nazwiskiem, kobietę upadłą.

Czy jej rodzinę, obchodzi w czemkolwiek honor męża? Tu idzie o sławę ich córki. Tym sposobem przepaść się wypełnia, cześć dziewicza pokostem małżeństwa wybielona, na nowo jaśnieje, a pan mąż, niech się ratuje jak może; przyszłość do niego już należy. I mniej więcej każdy pochwali rodzinie, podobne rozcięcie węzła gordyjskiego; kobiety szczególnie — jeżeli nie idzie o ich rywalkę — westchną, pobożniej oczy wzniosą ku niebu, jakby mu dziękując, że tak wszystkiem mądrze pokierowało.

Takie myśli ponure, przebiegały po głowie Françis'a, gdy zrobił znakomite odkrycie, że panna Melanja Simart, a owe Domino z żółtą różą, policzkujące Merville'a na balu Opery z taką siłą dragońską, jest jedną i tą samą osobą. Nie wątpił ani chwilę, że taką właśnie pułapkę zastawiono na jego przyjaciela i że mu przeznaczono zapełnić swoją osobą przepaść, która musiała pochłonąć niewinność panny Melanji. Młody, bogaty, a pragnący uciech światowych, oddawał się sumiennie studjowaniu żeńskiego personalu, zapełniającego bale Opery. Wiedział więc z własnego doświadczenia, że szukać w tem Pandemonium czystej i nieskalanej dziewicy, byłoby równem szaleństwem, jak iść na bagna, zgnilizną ziejące, by tam znaleść i zerwać, śnieżny kwiat gór alpejskich. Bytność Melanji na balu Opery, wydała mu się jednym z tych stygmatów, znaczących wieczną hańbą czoło kobiety, poprzysiągł dójść tej tajemnicy. Chciał zostać w tym razie owym stróżem bezpieczeństwa publicznego i oświetlić lampjonem prawdy niezbitej, przepaść, w którą zamierzają wtrącić, jego dobrodusznego przyjaciela.

Zamyślenie i roztargnienie Françis'a, nieporozumienie, które od dawna nurtowało pomiędzy przyszłymi małżonkami, boczenie i widoczne niezadowolenie panny Melanji, tak z Teissiera, jak i z jego przyjaciela, wpłynęło nieprzyjaźnie, na całe otoczenie. Czuć było w powietrzu pewien przymus; wszyscy byli w milczeniu pogrążeni, i jacyś nie swoi.

Nie pomogły dykteryjki gospodarza, z których on zwykł był śmiać się na całe gardło, tyle w nich upatrywał dowcipu, a które jednak nawet Françis'a nie rozweseliły, bo co reszta domowników, ci już dawno umieli je wszystkie na pamięć. Próbował więc deklamacji liberalno-patryotycznych — i te zbyto milczeniem. Obiad skończył się nareszcie. Melanja uszczęśliwiona, porwała blondynkę za rękę i wybiegła z nią do ogrodu; musiała sobie nagrodzić powagę, z jaką była podczas obiadu, aby zachować decorum pani i gospodyni domu. Leciały jak strzała, i wkrótce znikły w bocznej, cienistej alei, zkąd tylko od czasu do czasu, dolatywały wybuchy ich śmiechu srebrzystego, wywołane bezwątpienia, przypominaniem sobie, niezgrabności i oryginalności, gościa nowoprzybyłego. Dwaj przyjaciele, zbliżyli się także bezwiednie prawie, by dalej gawędę prowadzić, a p. Simart, zajął się wyłącznie, chudym i długim jegomością, któremu, trzymając go jedną ręką za guzik od surduta, a drugą energicznie wymachując, tłumaczył znaczenie najnowszej polityki podług zasad i wskazówek, któremi sam się dziś rano napoił, odczytując wiernie „National'a".

— Jakże ci się wydała? — zapytał Hektor przyjaciela, z dumą, której ukryć nie potrafił. W obec takiego znawcy jak Françis, zapominał o wadach narzeczonej, pamiętając jedynie o jej cudownej piękności. Ciekawy też był usłyszeć, zdanie o niej przyjaciela.

— Prześliczna — rzekł Françis tak zimno, jak gdyby mówił o kwestji zupełnie podrzędnej. — Ale powiedz mi kto jest ta pulchna blondynka, nasze vis à vis przy stole?

— Pani Regnauld, kuzynka Melanji, a żona długiego, łysego jegomości, który z panem Simart rozmawia.

— Zdaje się żyć w ścisłej przyjaźni z panną Melanją?

— Kochają się bardzo. Ona tu mieszka przez lato, a zimę, panna Melanja u niej w Paryżu przepędza. I w tym roku, dopiero przed Wielkanocą Melanja na wieś powróciła.

— Ah!... Ta pani, z oczami sentymentalno-zawróconemi, zdradza serce nader czułe, spragnione wrażeń... przecież mnię rozumiesz? A ten pan chudy jak tyka, a łysy jak pałka, ma fizjonomię.. charakterystyczną! Starego męża, młodej żony.

— Mimo różnicy wieku, żyją ze sobą bardzo dobrze.

— Dzięki wyższej dyplomacji żony... Znamy się na tem! To jednak nie przeszkadza, by olimpyjskie czoło jego, nie miało być ozdobione...

— At! dałbyś im pokój! Co nas to obchodzi? Mówmy lepiej o Melanji. Znajdujesz ją więc...

— Ależ! czarującą! zachwycającą!

— Jednak...

— Jednak, co?

— Nie radzę ci, z nią się żenić.

— A to czemu? — zapytał Teissier sucho i niecierpliwie. Chwiejność charakteru, idzie zwykle w parze z uporem, gdy ktoś inny przyzna nam słuszność, i chce nas niejako utwierdzić w tem niezdecydowaniu. Natury takie, właśnie wtedy na kieł biorą, i zaczynają chwalić, co przed chwilą ganiły. P. Teissier także uczuł się dotknięty powątpiewaniem przyjaciela w jego przyszłe szczęście małżeńskie, i brakiem uniesienia, które powinien był uczuć na widok jego pięknej narzeczonej.

Czemu? — odparł Françis od niechcenia. Dla przyczyn, które sam odkryłeś. Wszak mi mówiłeś dziś rano, że jest humoru zmiennego jak fale morskie, popędliwa, a nawet gwałtowna.

— Wady rozpieszczonej jedynaczki, które z łatwością wykorzenię, skoro jej mężem zostanę. Pomyśl że ma zaledwie lat ośmnaście... zresztą, możem trochę i przesadził, będąc podrażnionym... Jeżeli więc nie masz innych powodów...

— Mam, i bardzo ważne!

— Jakiż na miły Bóg! Zabijasz mnię tym tonem ponurym i pełnym groźnych tajemnic!

— Odpowiem ci jutro. — Dziś musisz mi ułatwić rozmowę na osobności z twoją narzeczoną.

Hektor wytrzeszczył oczy na przyjaciela, z miną, coraz bardziej przestraszoną.

— Żądanie, co najmniej oryginalne! Mniejsza o to, rób jak chcesz, nie będę przecież o ciebie zazdrośnym! Ale chyba sam się o to postarasz. Czyż nie widzisz, jak mnię Melanja unika? Mówić nawet ze mną nie chce!

Przechadzali się jakiś czas w milczeniu.

— Gdzież one poszły? — zapytał wreszcie Françis, szukając nadaremnie oczami młodych kobiet po ogrodzie.

— Zapewne są w sali bilardowej.

— I nam tam pójść wypada. Inaczej powiedzą, żeśmy ludzie zupełnie niegrzeczni.

Dwaj młodzi ludzie weszli do domu. Gdy przez sień przechodzili, doleciał ich z sali bilardowej głuchy odgłos kul, uderzających jedna o drugą. i szelest sukień po posadzce się uwijających. Teissier trafnie odgadł, dokąd się panie udały. Gdy drzwi otworzyli, Melanja radośnie w rączki klaskała, i podskakiwała jak młoda sarneczka... właśnie partją wygrała.

— Grajmy we czwórkę — zawołała z żywością, którą odznaczały się tak jej ruchy, jak i jej słowa. Ja gram z moją kuzynką. Ci panowie przeciw nam. Ale żadnych punktów naprzód nie przyjmujemy. Równy z równym. Zobaczymy kto zwycięży!?

— Przeciw takiemu układowi, najmocniej protestuję — zawołał Françis. — Partja bilardu, z paniami, to tak samo jakby tańczyć kadryla. Czyż w tańcu, zamiast uszczęśliwić mnię, Twojem Pani towarzystwem, miałabyś sumienie, skazać mnię na partenera pana Teissier?

Myśl, jakby wyglądał dość niezgrabny na mężczyznę Teissier jako tancerka w kadrylu, tak Melanję rozcieszyła, że długo nie mogła się uspokoić w śmiechu szalonym.

Przystała wreszcie na wniosek Françis'a, zadecydowawszy jednak stanowczo, że węzełki będą rozstrzygać, kto z kim gra. Los tym razem, okazał się łaskawym dla Teissier'a i postawił obok niego przyszłą małżonkę. Zaczęła się partja. Dramond grał z niedbałością człowieka, który nie takich przeciwników, zwykł był pokonywać. Teissier przeciwnie, namyślał się nad każdem uderzeniem, i zdawał się przywiązywać wielką wagę do wygranej.

Dwie kuzynki, grały także z wielkim zapałem, którym zwykłe przejmować się kobiety, gdy wchodzą poniekąd w prawa mężczyzn, i zajmują się czemś, co panowie uważają za swój przywilej wyłączny. Melanja szczególniej, przyjmowała rozmaite gry wypadki, z namiętnością dziecka kapryśnego. Kolejno niespokojna, zniechęcona, tryumfująca, wyzywająca swoich przeciwników, łająca swego partnera, nie oszczędzająca własnej niezgrabności, to gniewem wybuchała, to śmiała się radośnie. Zdawać się mogło, że szczęście jej całego istnienia, całej przyszłości, zawisło od wyniku pomyślnego lub niepomyślnego tej partji.

— Na honor! panna młoda niezwykła! — myślał Françis, studjując od początku, swoją piękną przeciwniczkę, daleko uważniej, niż uderzenia własne kul bilardowych. — Rozkoszny djabełek! Nieoceniony skarb dla kochanka, ale plaga prawdziwa dla męża!

Walka miała się ku końcowi. Melanja już naprzód skakała z radości. Jeszcze trzy punkta, a wygrana była po jej stronie. Kula czerwona stała tak blisko siatki, w którą miała być wpędzoną, iż zwycięstwo nie podpadało wątpliwości najmniejszej. Na Hektora grać przypadło. Pochylił się z namaszczeniem, obliczając dłużej niż kiedykolwiek uderzenie, które miało partję rozstrzygnąć. Nieszczęście chciało, że w tej chwili decydującej, Melanja

która nie posiadała się z niecierpliwości, oparła białą swoją rączkę na bandzie, ściskając ją kurczowo. Rączka pulchna, drgająca, powyżej łokcia odsłonięta, taką dystrakcję sprawiła biednemu Hektorowi, że popełniając karambol najfatalniejszy, własną kulę wpędził w matnię, nie tknąwszy wcale kuli czerwonej. Tym sposobem partję przegrali.

Melanja krzyknęła, jakby z bolu, nóżką silnie tupnęła, a mierząc niezgrabiasza okiem piorunującem:

— Jesteś pan nieznośny — rzekła głosem drżącym — Partja, którą dziecko byłoby wygrało! Umyślnie aby mnię drażnić. Wszak mnię na złość tak pan zrobiłeś? przyznaj się przynajmniej.

— Chroń mnię Boże od tego! — zawołał Teissier zrozpaczony. — Przydarzyło mi się to nieszczęście, bo na ciebie pani patrzyłem...

— A pocóż na mnię patrzysz? Czy ja patrzę kiedy na pana? Ale nie, nie! umyślnie tak grałeś! Gdy grasz przeciw mnię, nigdy kuli nie chybisz.

— Za to drugą partję wygramy.

— Sam ją pan sobie wygrasz... Ja nie gram więcej!

Mówiąc te słowa, tonem dziecka popsutego, rzuciła kij na bilard, a zbliżywszy się do okna, obrócona plecyma do reszty towarzystwa, zaczęła wydzwaniać po szybach, różowemi paluszkami, jakiś marsz furioso. Nieszczęśliwy Teissier błagał wzrokiem o pośrednictwo panią Regnauld, młoda atoli kobieta nie raczyła go zrozumieć, i jak gdyby nigdy nic, usiadła sobie najspokojniej na kanapce, obok okna, po którem bębniła dalej Melanja. Po chwili odezwała się pani Regnauld lekceważąco:

— Na panów kolej. Grajcie we dwójkę. Będę rada ze sposobności, wzięcia od was lekcji, i może co skorzystam, wam się przypatrując.

— A więc bawmy te panie — odparł Teissier z przekąsem.

Melanja zwróciła się pół ciałem ku mówiącemu:

— Mnię pan wcale nie bawisz!

I wróciła do galopady, którą na szybie wygrywała.

Teissier, podrażniony do żywego, zaczął grać z zaciekłością. Uderzenia niesłychane, duble niepojęte, karambole najdziwaczniejsze, wszystko mu się udawało. Wciśnięta jak kotka w kąt kanapki, pani Hortensja Regnauld, patrzyła na grę panów, z uśmiechem sarkastycznym na ustach, jak gdyby najnowsza porażka Teissier'a, i nieporozumienie między narzeczonymi, sprawiało jej pewne zadowolenie wewnętrzne. Co do Dramond'a, ten z wszelką rezygnacją pozwalał się zwyciężać na polu bilardowym, zajęty znowu więcej niż grą obserwowaniem Melanji, na którą raz po raz z pod oka spoglądał.

— Nagle Melanja bębnić przestała, rozerwała okno na oścież tak gwałtownie, że o mało wszystkie szyby nie powylatywały, i głosem doniosłym a gniewnym, krzyknęła na Mikołaja, który z flegmą kroczył przez dziedziniec.

— Kto ci pozwolił nicponiu, upiąć Solimana? Jak śmiesz mnię się sprzeciwiać? W tej chwili spuść go z łańcucha, ale to mówię ci, natychmiast!

Chłopiec wybełkotał kilka słów niezrozumiałych, i pospieszył rozkaz spełnić. Soliman wolnym się ujrzawszy, wyskoczył z budy, w lot przebiegł dziedziniec, jednym susem znalazł się na oknie i jak bomba wpadł do pokoju.

— Biedny, kochany piesku — przemawiała do niego słodko Melanja, przyciskając wielki łeb do piersi, i w czoło psa całując. — Biedna, nieszczęśliwa ofiaro! Chcą z ciebie zrobić niewolnika... Ale bądź spokojny. Ja tego nie zcierpię!

Kończąc te słowa, rzuciła spojrzenie wyzywające, w stronę swego narzeczonego, który zmarszczył brwi, na widok wroga śmiertelnego. Wiele razy gra go zmuszała, przechodzić blisko psa, rzucał na tegoż okiem niespokojnem, kierując następnie wzrok mimowoli ku swoim nogom, nie mało zagrożonym w swojej nienaruszalności, rzędem podwójnym, zębów białych i ostrych, które mu zawsze pies nie omieszkał pokazać, jakby go tem witał, lub ostrzegał.

To droczenie się psa z Teissier'em, zdawało się bawić nadzwyczaj Melanję. Od czasu do czasu, zamieniała ze swoją kuzynką, rzut oka lub uśmiech ironiczny. Wreszcie młoda dziewczyna, nie mogła wstrzymać się od popełnienia jednego z tych figli, które tłumaczył jej wiek prawie dziecięcy, i niesłychana żywość temperamentu, która jej przeszkadzała do zastanowienia głębszego, nad tem co robić zamyśla. Widząc Teissier'a w postawie prawie leżącej, wyciągniętego jak struna, i pogrążonego w studjowaniu uderzenia, które miało ostatecznie pobić przeciwnika, a tymczasem piłującego kij bilardowy paznokciami u lewej ręki, co zwykli czynić gracze charakteru niezdecydowanego, dała niemy znak Solimanowi, którym pies ośmielony, wskoczył na bilard i kulę chwycił w zęby. Teissier zbladł jak chusta; hamując się jednak w gniewie, pań obecnością, chciał spokojnie wyjąć psu kulę z paszczy. Pies puścił wprawdzie kulę, lecz natomiast utopił zęby w ręce Hektora. Ból do reszty go rozwścieklił. Na nic już nie zważając, podniósł kij i z całej siły psa po grzbiecie nim przeciągnął. Soliman nie tyle waleczny, jak zaczepny i kłótliwy, wyjąc przeraźliwie, cofnął się prędko ku swojej pani.

— Odważ się pan jeszcze raz bić mego psa! zawołała Melanja zrywając się z fotelu, z okiem iskrzącem, i twarzyczką ponsową od gniewu.

Władza mężowska, którą miał wkrótce posiąść, wystąpiła w całym majestacie przed oczyma duszy Teissier'a.

— Jeżeli teraz ustąpię — pomyślał — jeżeli okażę słabość niegodną mężczyzny, popełnię błąd nie do naprawienia. Pokażmy więc stałość i wykonajmy rodzaj coup d'Etat, w zakresie domowém.

Chcąc jednak mieć za sobą nie tylko prawo silniejszego, które miało mu przysłużać jako mężowi, lecz również i sprawiedliwość; rozwinął z chustki krwawiącą się lewą rękę, a następnie wymierzył psu raz drugi.

— Morderco! — krzyknęła Melanja, przyskakując do jego twarzy, z ręką groźnie podniesioną.

— Melanio! Dziecko! Co robisz? — dał się słyszeć jednocześnie trwożny głos pani Hortensji.

Wysiłkiem heroicznym, wstrzymała rękę w pół drogi, która miała powtórzyć na licu narzeczonego ów pyszny, okaz policzka, niegdyś Merville'owi zaaplikowanego.

Przy wrodzonej popędliwości i rozpieszczeniu jedynaczki, której nikt nigdy, nie śmiał się sprzeciwić, walka stoczona w tej chwili z jej własną naturą, była istotnie wielką; to też nastąpiła gwałtowna reakcja, i dwa strumienie łez trysły z jej cudnych oczów. Na ten widok Soliman, dotąd pod kanapą przyczajony, dokąd uznał za stosowne zrejterować, rzucił się wściekle na Teissier'a i był by go może tym razem na dobre poturbował, gdyby nie wdanie się Françisa, w tę drażliwą sprawę równie silnego, jak przytomnego. Porwał bez ceremonji psa jedną ręką za kark, drugą za grzbiet i pies ani wiedział kiedy się za oknem znalazł. Okno było tak niskie, że psu nic się nie stało, a gardło Teissier'a zostało szczęśliwie ocalone.

Podczas operacji z psem i zamykania okna, panna Simart, którą daremnie starała się starsza kuzynka uspokoić, kroczyła ku drzwiom, chustką tłumiąc łkania spazmatyczne. Wreszcie stanęła, a obracając do Teissier'a swoją twarzyczkę łzami zalaną, przemówiła do narzeczonego głosem stłumionym, urywanym:

— Dowiedz się pan, że go nie cierpię, że nim pogardzam... Od kiedy mnie poznałeś, robisz mi wszystko na przekór, drażnisz, irytujesz, wreszcie wyczerpie się wszelka cierpliwość... i moja się skończyła... Śmiałeś pan uderzyć dwa razy mojego Solimana... wolałabym była, żebyś mnie był wybił, mnie samą. Nienawidzę pana i nigdy w życiu żoną jego nie będę! Czy mnie pan zrozumiałeś?

Wypowiedziawszy to wszystko tonem niezrównanym, Melanja popchnęła z lekka panią Hortensję we drzwi otwarte i sama za nią pospieszyła, rzucając drzwiami z całej siły za sobą, jak to zwykłe robić dzieci popsute i rozdąsane.

Na widok swego przyjaciela, który stał jakby w ziemię wrośnięty, niemy, skamieniały z rękami po obu stronach bezwładnie wiszącemi, o palcach szeroko rozciągniętych, Françis parsknął głośnym śmiechem.

— Masz się z czego śmiać! O! masz. To bardzo śmieszne, nadzwyczaj zabawne! — wyrzekł z gorzką wymówką Teissier nieszczęśliwy.

— Daruj mój drogi! — Ależ bo twoja fizjonomja jest tak skonsternowaną...

— Osobliwszy powód do wesołości. A co ci mówiłem? Masz próbkę tego słodkiego charakteru! Cóż o tem myślisz?

— Wady rozpieszczonej jedynaczki, które z łatwością wykorzenisz, skoro jej mężem zostaniesz — odpowiedział Françis ironicznie, powtarzając własne słowa przyjaciela, przed chwilą wypowiedziane.

— Jej mężem! przenigdy! — żachnął się Teissier gwałtownie. — Czyż nie słyszałeś jaką mi dała odprawę? Ale nie będę czekał na koszyk z jej strony. Ja sam ją puszczam w trąbę, ja sam zrywam wszelkie stosunki i to natychmiast! Pokażę jej, co to znaczy męzki charakter! Idę w tej chwili rozmówić się z ojcem, powinszować mu takiej lubej córeczki i odjeżdżam do Paryża, gdzie znajdę tysiące panien na wydaniu, milszych i łagodniejszych niż ten djabełek! Widziałeś? Wszak rękę na mnie podniosła!

— Oj! podniosła... — szepnął Françis głową smętnie potrząsając.

— Bałem się nawet...

— I ja się bałem... Gdyby nie rychła interwencja pani Regnauld, byłbyś niezawodnie podzielił los Merville'a, na balu Opery i raptem zobaczył się z fluksją po jednej stronie twarzy.

— Djabeł, cały djabeł! — mruknął Teissier całkowicie zniechęcony, uderzając zdrową pięścią o stół bilardowy.

O ile umysł Hektora był ścieśniony, a charakter niezdecydowany, o tyle Françis miał głowę otwartą, był przytem chłopcem dzielnym i energicznym. W mgnieniu oka zorientował się w smutnem położeniu przyjaciela, i postanowił korzystać z dobrej sposobności, by zerwać bądź co bądź to małżeństwo.

— Prawdopodobnie lekkomyślna, żeby więcej nie powiedzieć... a gwałtowna w najwyższym stopniu, co już żadnej nie podlega wątpliwości. Poczciwy Hektor nie może przecież tak się głupio ożenić! Korzystajmy więc z tej kłótni i zerwijmy, nie wspominając wcale o historji z żółtą różą, która by mogła tylko niepotrzebnie młodą dziewczynę skompromitować.

Myśląc w ten sposób, Françis nie zdawał sobie sprawy z uczucia, które mu usta zamykało. W sercu jego bezwiednie, budzić się zaczynało coś... bardzo do miłości podobnego.

— Więc jesteś zdecydowany? — zapytał przyjaciela.

— Nieodwołalnie! — wycedził Hektor, akcentując każdą zgłoskę, tego długiego, a tak wiele znaczącego przysłówka.

— W takim razie, chodźmy do pana Simart.

— Chodźmy... jest to jednak tak niemiłem... tak drażliwem...

— Już się cofasz!

— Ależ, wcale nie! Tylko widzisz, pan Simart, człowiek taki zacny; to małżeństwo bardzo go cieszyło; jak że mu powiedzieć, tak prosto z mostu: Nie chcę twojej córki!... Gdyby można uniknąć sceny nader przykrej... zerwać raczej listownie, niż w ten sposób znaleść się z biednym ojcem, oko w oko... wolałbym wyznam szczerze...

— Przyznaj się, że już się wahasz... Zresztą nic łatwiejszego, jak uniknąć tej drażliwej sytuacji. Biorę wszystko na siebie.

— Jakim sposobem?...

Françis przesunął ręką po czole. Krótko się namyślał. Ludziom jak on dowcipnym i energicznym, nie braknie nigdy na dobrym wybiegu.

— Już mam! — zawołał — Idzie o to głównie aby opuścić dom, bez dalszych tłumaczeń, aby oszczędzić ile możności, uczucie ojcowskie pana Simart, aby zerwać ostatecznie listownie, nie ustnie. Więc słuchaj! Twój wuj Marjolier, dostał apoplektycznego ataku, i to cię zmusza odjechać ztąd natychmiast.

— Mój wuj... apopleksją tknięty!... — wybełkotał Teissier, mieniąc się na twarzy.

— Ależ nic mu nie jest, równie jak mnie i tobie. Czyż się nie domyślasz, że uśmiercam twego wuja, by ci odjazd z tąd ułatwić?

— Ah! rozumiem. Tak mnie jednak przeraziłeś tą wiadomością.

— Cha! cha! cha! Żartuj zdrów! Znamy się na tem. Przerażenie spadkobiercy wuja bogatego! (C. d. n.)

Nawrócony.

Pracowałem gorliwie cały ranek nad rękopisem mojéj greckiej mitologji, i znużony wyciągnąłem się na sofie z cygarem w ustach, gdy gwałtownie do drzwi zakołatano i nim zdołałem zapytać kto tam? wpadł do pokoju mój przyjaciel Rudolf, rzucił na stół z właściwą sobie burszowską czupurnością szeroko skrzydlaty kalabryjski kapelusz i zawołał z zachwytem:

— Ujrzałem ją znowu po sześciu latach rozłączenia, szaleństw i niewierności z mej strony! O jakiż osieł ze mnie! jakiż nikczemny osieł! Powiadam ci, że zacząwszy od Portugalji aż do Chin, nie ma ani jednej kobiety która godną by była rozwiązać jej obówie. A ja mogłem ją posiadać, mogłem tylko rękę po nią wyciągnąć! Prawdziwie Erneście zasługuję na to, abyś mnie wypoliczkował jak dzieciaka, który w napadzie swej pustoty najpiękniejszą swą zabawkę rozbił na kawałki!

— W ostateczności nie odmówiłbym ci tej małej przysługi — odparłem zdumiony. — Ale czy nie zechcesz jaśniej się wyrazić? Lub też czy mam te wykrzykniki uważać za monolog?

— Przeciwnie, przychodzę ze stałym zamiarem przelania w twoje braterskie serce mego cierpienia. Jak widzisz jestem tak wzburzony... Czy nie masz już cygar? paczka widzę pusta...

— Tam na półce z książkami na prawo.... tu na biórku jest ogień...

— Dziękuję... a zatem... pamiętasz przecież Edytę, tę wysmukłą, zachwycającą blondynkę, którą jeszcze będąc studentem ubóstwiałem?...

— Ciekawe pytanie! Czyż nie jest ona bohaterką twoich obfitych poetycznych utworów?... Zresztą od kilku miesięcy mieszka naprzeciwko mnie, w tym samym domu z zielonemi żaluzjami.

— I to teraz mi powiadasz? O zasuszona i wyziębiona profesorska głowo! Od trzech przeszło tygodni jestem codziennym twoim gościem ależ to graniczy z szaleństwem!

— Czy może przez te trzy tygodnie zapytałeś choć raz o nią?

— Prawda, miałem co innego na głowie! Zkądże wreszcie miałem przeczuć, że tak mnie oczaruje! Szczerze mówiąc sądziłem, że ta skłonność dawno się z dymem ulotniła.

— A ja i teraz tak jeszcze sądzę. Ten zachwyt trwać będzie dopóki nie ujrzesz innej, która cię w taki sam sposób oczaruje. Zresztą wiesz zapewne o tem że wyszła za mąż?

— Tak chciałem właśnie powiedzieć, że jej małżonek jest przestraszającem stworzeniem; nie mogę pojąć, jak mogła takiemu potworowi oddać swoją zachwycającą rączkę. Gdy będąc w Madrycie, otrzymałem od ciebie wiadomość że przedmiot moich zapałów został zaręczony, wyobraziłem sobie w osobie barona von Weisenburg jakąś dumną rycerską postać, a tu znajduję małego nędznego człowieka z sępią twarzą, i żałośnie przygładzoną bródką.

— Jest to jednak bardzo zdolny i wykształcony człowiek — odparłem śmiejąc się.

— Ja go nienawidzę, pogardzam nim!

— Dla czego?

— Skradł mi szczęście mego życia — zawołał Rudolf patetycznie.

— Szczęście twego życia! A któż ci przeszkadzał zdobyć sobie to szczęście. Edyta była wolną, ty nie byłeś jej obojętnym... żeby nie powiedzieć więcej. Ale zamiast uczciwie się o nią starać, jak to przystało statecznemu młodzieńcowi, jednego pięknego poranku zawiązałeś szczęśliwie swój tłómoczek i puściłeś się w świat na wędrówkę, jako błędny rycerz i poeta. Na szczytach gór szwedzkich całowałeś jasnowłosą Dagmarę, w Andaluzji ciemnooką Maurytankę, gdzieś tam w Konstantynopolu faworytę wielkiego wezyra, alboż ja wiem zresztą co jeszcze! Czyż zatem żądać mogłeś aby to zwiedzione dziewicze serce pozostało ci wiernem i swój skarb miłości zachowało na wypadek, gdyby młodzianowi znowu przyszło na myśl o nią zapytać?...

— Masz słuszność. Sam siebie nie rozumiem! Przez te sześć lat nieobecności, myślałem raczej o wszystkiem innem jak o połączeniu się z Edytą. Uważałem ją za poetyczną istotę, której własności charakteru doskonale się nadawały do nowelli i romansu. Jej osobistość była mi z tem wszystkiem zupełnie obojętną. Ale to niczego nie dowodzi! Czyż zaślepienie ma trwać zawsze? Czyż z latami człowiek nie przychodzi do poznania! Dziś widziałem ją wspartą na ramieniu męża, przechadzali się po miejskim parku i to jedno spotkanie wystarczyło aby te sześć lat głupoty wygładzić z mego serca! Powiadam ci Erneście, że jestem zakochany w tej dziewczynie jak ośmnastoletni chłopiec.

— W tej dziewczynie! Jest przecież mężatką zdajesz się ciągle o tem zapominać!

— Dla mnie jest ona i pozostanie dziewicą! Nie przypuszczasz przecie aby mnie jakikolwiek przesąd wstrzymywał w tej walce o wieniec zwycięztwa? Kocham ją, chcę ją posiadać za jaką bądź cenę! Przy pierwszej lepszej sposobności, rzucam jej się do nóg... zdobywam szturmem, uprowadzam!...

— Zanadto wiele pewności. Przedewszystkiem musisz przecie mieć wstęp do domu Weisenburgów.

— Nic łatwiejszego jak to...

— Nie tak bardzo jak ci się zdaje. Baron wie o waszej przeszłości. Niejednokrotnie słyszał o tobie i czytał...

— Czegoż to dowodzi?

— Wystarcza, aby go uczynić niedowierzającym i zazdrośnym. Prócz tego wiem na pewno, że tobie i rozwojowi twego autorskiego talentu wiele poświęca uwagi, która przy całej czci dla twego geniuszu wcale nie jest naturalną. Studjuje cię ze względu twej minionej skłonności dla Edyty i jest o tyle psychologiem, by odkryć...

— Zdajesz się być nader szczegółowo zawiadomionym.

— Widzisz jakim wzorowym jestem przyjacielem. Lepszy potrafię wydać wyrok w sprawach najbliżej ciebie obchodzących aniżeli ty sam.

— Znasz barona osobiście?

— Zaledwie tylko powierzchownie. Nie wiem, czy zamieniliśmy ze sobą trzy słowa. Ale z bratem jego często się widuję i od niego słyszę nie raz...

— Aha! — przerwał mi — rozumiem. Ma zatem brata... to byłoby coś... czy niemógłbyś mnie z tym bratem zaznajomić?

— Dla czego nie? Ale dla twoich szatańskich planów na mało ci to się przyda. Wzbudzasz pewien wstręt i uchodzisz za wolnomyślącego młodzieńca, dla którego nie ma nic świętego.

— To tylko twoje przewidzenia.

— No musisz przyznać, że pewnie dyskursa, z któremi dałeś się słyszeć nie mogły w bardzo korzystnem świetle przedstawić twej obywatelskiej moralności. Nie żyjemy w wielkiej stolicy: plotki tu jak w pierwszej lepszej prowincjonalnej mieścinie. Edyta naprzykład wie co zaszło po pierwszej twojej podróży do Włoch w wielkiej sali następcy tronu.

— Cóż to było takiego? nie przypominam?

— Mój Boże jakaż to krótka pamięć! przypomnijże sobie! Było to trzeciego dnia twej tu bytności. Obchodziliśmy powrót wędrowca uroczystą ucztą. Jeden z nas, zdaje mi się że Gebhard, zapytał czy pozostaniesz już między nami i czy twoją szeroko opiewaną Edytę poślubisz. Odrzekłeś, że małżeństwo dla ciebie jest zanadto subjekcjonalnem i prozaicznem, i że wolisz poczekać aż Edyda zrobi wybór, by wtedy zostać przyjacielem jej domu. Wszyscy się roześmieli, Gebhard dowodził, że nie mówisz tego na serjo. Zaprzeczałeś. Utrzymywał, że ten wstręt do małżeństwa jest tylko fanfaronadą i udawaniem bez wewnętrznego przekonania. Rozdrażniło cię to. „Daję słowo — zawołałeś podnosząc do ust kielich — życie z jego zewnętrznemi formami tak mi jest obojętnem, że w ostatnim razie nic by mi na tem nie zależało ożenić się z tą dziewczyną. I patrz Gebhardzie, jaki ze mnie zgodny człowiek... tu... gdzie są kości?... niech los zaraz rozstrzyga. Jeżeli rzucę dopary, to oświadczę jej się górnotkliwie, jeżeli zaś nie dopary, to zostanę przyjacielem domu. W pierwszym razie ty przegrasz, a w drugim ja sześć butelek szampana. Czy jesteś zadowolonym?

Gebhard chciał stawiać jakieś przeszkody, ale reszta towarzystwa przystała na tę propozycję. Rzuciłeś nie dopary.

— A zatem będę przyjacielem domu — zawołałeś w tryumfie — przyjemniejsza to i więcej oryginalna rola aniżeli małomieszczańskiego małżonka. Gebhardzie ja płacę szampana, a ty jesteś niejako moralnie zobowiązany ją poślubić... No i cóż przypominasz sobie?

— Mam jakieś niejasne wspomnienie — odparł Rudolf.

— Ale Edyda w każdym razie nie zapomniała tego i łatwo pojmiesz, że to zdarzenie już samo przez się wystarcza, aby ci wstęp do domu Weisenburgów zagrodzić.

— Przekleństwo! masz słuszność! Ale mniejsza o to, nie dam się tak łatwo odstraszyć od raz powziętego zamiaru. Te przeszkody pobudzają tylko mego przedsiębiorczego ducha. Człowieku! (chwycił mnie przy tych słowach za ramię i wstrząsnął z taką siłą, że mi tchu w piersiach zabrakło) powiadam ci musisz mi dopomódz, albo wypowiadam ci moją przyjaźń.

— Uchowaj Boże bym ci miał do jakiej niedorzeczności dopomódz...

— Ależ zapewniam cię, ja, ja kocham tego anioła szczerze i prawdziwie, mógłbym zaraz nawet do jej błękitnych jak niebo oczu zaimprowizować odę...

— Tem gorzej.

Przysunął się do okna i zaczął palcami bębnić w szybę.

— Wiekuisty Boże! — zawołał naraz — Otóż ona! na uczciwość!... Erneście przysięgam ci, musi być moją lub zginę! Patrz tylko na ten wdzięk, na tę uroczą postać kobiecą.

Edyta stała wsparta na poręczy balkonu. Wyglądała istotnie ślicznie w ciemno zielonej spacerowej sukni. Różowo podbity parasolik, rzucał na jej twarzyczkę uroczy cień, który mój awanturniczy przyjaciel natychmiast do niebiańskiego blasku świętej aureoli przyrównał.

Teraz otwarły się drzwi balkonowe. Młoda osoba w pikowej sukni ukazała się wraz z baronem. Wysmukła i słusznego wzrostu, ale między nami mówiąc dość brzydka. Szerokie usta, duży choć kształtny nos, niskie czoło i czerwonawe włosy, nadawały jej twarzy wyraz niesympatyczny, który tylko blaskiem dużych, ciemnych oczu trochę był złagodzony. Była to Julja, młodsza siostra Edyty, nazwana lekceważąco przez akademicką młodzież „Czerwoną Julą." Znałem ją dawno jako utalentowaną i światłą dziewicę, nie będąc jednak przyciągniętym jej powierzchownością, mało się nią zajmowałem. (C. d. n.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Królowa salonu. Przed kilkoma dniami umarła w Londynie kobieta, która w najszerszych kołach towarzystwa angielskiego grała rolę salonowej primadonny.

Imię hrabiny Frances Waldegrave zespoliło się tak ścisłemi ogniwy z życiem salonu londyńskiego, że ktokolwiek żył w nim mocą prawa, albo siłą bezprawia, musiał pokłonić się u ołtarza tej monarchini angielskiego *high life'u*.

Od śmierci lady Palmerston, ona jedna miała odwagę utworzyć w Londynie coś na kształt salonu — ognisko, w którem zbiegały się arterje tego rozstrzelonego, chaotycznego życia, którem wre kilkomilionowa stolica John Bula.

W tym salonie mieniały się jak w kalejdoskopie najróżnorodniejsze postacie: ukoronowane głowy, książęta krwi, mężowie stanu, dyplomaci, sławni artyści, zasłużeni pisarze i piękne kobiety....

Ażeby dostać się do grona przyjaciół pani Waldegrave, nie potrzeba było drzewa genealogicznego, ani wstążeczki orderowej; dobre imię, wysłużone na jakiemkolwiek polu ludzkiej twórczości, wystarczało....

Bourbonowie, orleaniści, bonapartyści, dygnitarze kościoła i ludzie swobodnej myśli, toryści, whigowie i radykaliści, jednem słowem ludzie wszelkich wiar i przekonań spotykali się w progach tego salonu.

Ściślejsze jednakże koło, rdzeń, że tak powiemy towarzystwa gromadzącego się u hrabiny, stanowili każdorazowi przewódcy stronnictwa liberalnego.

Nie jedno ważne posunięcie na politycznej szachownicy zostało obmyślane w bibliotece, albo w jednym z ubocznych salonów pani Waldegrave; chwiali się potem ministrowie, pękały pierścienie stronnictw, a gobelinowe ściany jej pałacu miały prawo z dumą szeptać do siebie, że one to wszystko przeczuły.

Sama pani domu nie była ani młodą, ani piękną, nie posiadała wyróżniających ją zdolności, nie miala nawet tego niezbędnego w salonie talentu zestrajania szerokich kół w harmonię wspólnego zajęcia, w końcu nie miala elegancji w ruchach i nie cieszyła się arystokratycznem pochodzeniem.

Ojciec jej był izraelitą, nazywał się Braham (skrócenie Abrahama).

Niegdyś nabył on pewnej sławy swym pięknym głosem i w lekkiej operze angielskiej śpiewał partje tenorowe; w każdym razie ani rasa, ani wdzięczny tenor nie były temi czynnikami, które mogłyby same przez się utorować drogę młodej miss Frances do zaszczytów i związków arystokratycznych.

Musiała być chyba za młodu bardzo piękną.

Inaczej niepodobna wytłumaczyć sobie, zkąd gromadził się dokoła niej taki rój wielbicieli i to platonicznych, bo na imieniu hrabiny nie cięży najlżejsza skaza.

Cztery zaś latorośle męzkie najdostojniejszych rodów arystokracji angielskiej wybierały ją sobie z kolei za małżonkę.

Pierwszym z nich był Waldegrave, potomek historycznych Walpolów; po śmierci zostawił on jej olbrzymi majątek, miłość zaś swoją przelał w serce kuzyna swego, ówczesnej głowy rodu.

Earl Waldegrave (siódmy) ożenił się z hrabiną Franciszką w r. 1840, ale po sześciu już latach także umarł; z jego zgonem odziedziczyła ona resztę kolosalnej fortuny Waldegravów, wraz z historyczną willą w Strawberry Hill, którą zna każdy, kto kiedykolwiek zajrzał do pamiętników Horacego Walpole, albo poznał się z uroczemi brzegami Tamizy powyżej Londynu.

Ta willa, z gustem i przepychem przez hrabinę Franciszkę urządzona, była dotąd najulubieńszem dla niej miejscem pobytu; tu aż do śmierci najchętniej przyjmowała przyjaciół i gości.

I powtórne wdowieństwo hrabiny nie trwało długo.

Po roku już oddała rękę posiadaczowi Nuneham Court'u, Granvillowi Vernon Harcourtowi, a gdy i ten w roku 1861 pożegnał ziemski padół, powierzyła się po raz czwarty sirowi Chichester Fortescue, który przeżył swoją małżonkę, podniesiony do godności parowskiej z tytułem barona Carlingford.

Tak więc dziecko ubogiej, żydowskiej rodziny po czterykroć przyjmowało hołd serca i dar ręki od najwyższych rodem obywateli Wielkiej Brytanji i przez długich lat pasmo dzierżyło ster stołecznego salonu.

Nie wiemy czem skusiła swoich czterech małżonków, to jednakże pewna, że prostota i szczerość w obejściu się, zdrowy i trzeźwy rozum, nie goniący nigdy za mrzonkami, wywierały dotężny urok i oddalały od progu jej domu zawiść, intrygę i oszczerstwo.

Nie umiała znaleźć nieprzyjaciół.

Umarła nagle w ubiegłą sobotę.

Na poniedziałek zaproszony był do Strawberry Hill książę Aumale — na niedzielę następną książę Walii z małżonką i licznem towarzystwem.

Teraz piękny dom sieroce przyoblekł wejrzenie, bo jego dobry geniusz zgasił pochodnię swego życia.

Hrabina liczyła lat 58.

Kto obejmie spuściznę po lady Waldegrave? Czy w ogóle kto potrafi ją objąć? W Anglji bywa to rzeczą nie łatwą.

Mówią, że lady Granville.

Cudowny rabin. Pewien bardzo ubogi żydek miał córkę brzydką, głupią i rozumie się — nieposażną. Długi czas czekał wytrwale, rychło mu niebo zeszle bezinteresownego zięcia, lecz w końcu — widząc, że biedaczka starzeje się i tęskni, postanowił chwycić się ostateczności.

Sprzedał tedy najdroższe meble swoje i klejnoty córki, a zebrawszy w taki sposób trzy guldeny, pojechał do cudownego rabina.

Wszedł do sanctuarium.

Pomocnicy rabina domyślając się, że obdarty gość płacić będzie co najwyżej miedziakami, wzięli go pod ramiona, aby pokazać mu tylko krymkę świętego męża i wnet wyrzucić za drzwi. Gdy jednak interesant wydobył z kieszeni aż trzy zabrudzone papierki, wzruszyli się i wyjednali mu pięciominutową audjencję.

Tu trzęsąc się i płacząc opowiedzial biedny żydek rabinowi swoją zgryzotę i błagał go o wydanie córki za mąż.

Rabin milczał... milczał... milczał... (We drzwiach pokazali się pachołki, aby gościa uprzątnąć...) a w końcu rzekł;

— Wracaj do domu spokojny, albowiem wnet przyjdzie ten, który weźmie ją do przybytku swego, tak jak stoi i chodzi...

W tej chwili uczuł żydek na karku dwie silne dłonie i — znalazł się w stajni, do której wychodziły drzwi rabina.

Wrócił do siebie piechotą, radość bowiem skrzydeł mu dodawała. Już jest na rynku, przeciera oczy i widzi... cud!

Córka jego wylała z okna pomyje komuś na głowę...

Przychodzi policjant...

I bierze ją do przybytku swego...

Tak jak stała i chodziła...

Przepowiednia rabina spełniła się co do litery.

Mur chiński. Amerykański inżynier, pan Undank, kierujący budową chińskiej kolei, miał sposobność bliżej zbadać olbrzymi mur chiński, otaczający jak wiadomo Chiny.

Mur ten długi jest na 360 mil niemieckich, wysokości ma 18 stóp, a 15 szerokości u wierzchołka.

Fundamenta budowane są z granitu, a reszta jest trwałą robotą murarską.

W odstępach 200 do 300 kroków znajdują się mocne, 25—30 stóp mające w obwodzie czworograniaste wieże.

Na powierzchni muru po obu jego stronach są zbudowane przywały, pozwalające przechodzić z jednej do drugiej wieży bez wystawiania się na widok nieprzyjaciela.

Mur ten bez względu na teren, ciągnie się bez przerwy ponad górami, dolinami, jeziorami i przepaściami niekiedy na 100 stóp głębokiemi.

Potoki i mniejsze rzeczki mur przechodzi w kształcie mosów. Wielkie strumienie ubezpieczone są mocnemi i dużemi wieżami.

Patrząc dziś na to dzieło olbrzymie, trudno jest obliczyć czas i koszta, jakich wymagalo jego zbudowanie. W każdym razie trzeba przypuścić, iż koło budowy tego muru pracować musiały miljony ludzi...

Na weselu. Pewien podeszły a zamożny obywatel koloński oświadczył się o rękę młodziutkiej córki wdowy, mieszkającej w tym samym co i on domu.

Oświadczyny przyjęto. Zaraz potem odbyły się zaręczyny i naznaczono dzień ślubu.

Na parę dni przed ślubem sporządził on wobec notarjusza testament, w którym cały swój majątek, wynoszący kilkakroć stotysięcy marek, przekazał swej młodej, przyszłej małżonce.

Nadszedł wreszcie i dzień ślubu, na który zebrało się wielu przyjaciół i znajomych.

Z kościoła udali się państwo młodzi wraz z gośćmi do przygotowanego apartamentu, gdzie oczekiwało na nich suto zastawione śniadanie.

Przy drugiej potrawie wypada nowożeńcowi z rąk widelec, chwieje się i pada na krzesło.

Obecni spieszą na pomoc, lecz napróżno!

Przywolany lekarz oświadcza, iż pan młody zmarł na pęknięcie żyły sercowej...

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.